

Opis bibliograficzny: Jerzy Busza, *Rozwiane złudzenia*, "Foto", 1985, nr 6, s. 163-166

Uwagi: tekst nieedytowany

Słowa kluczowe: fotografia artystyczna, fotografika nowoczesna, salon

Tekst:

Wystawa „Polska Współczesna Fotografia Artystyczna” zorganizowana została staraniem Ministerstwa Kultury i Sztuki, Centralnego Biura Wystaw Artystycznych, Związku Polskich Artystów Fotografików, choć udostępniona publiczności w styczniu, będzie niewątpliwie najważniejszym wydarzeniem fotograficznym w Polsce w roku 1985. Po ekspozycji w warszawskiej „Zachęcie” powinien zostać ślad zwłaszcza w prasie fotograficznej. W bieżącym numerze prezentujemy obszerny zestaw tekstów podejmujących różne problemy związane z wystawą. Publikujemy poglądy krytyka, organizatorów, profesjonalnych fotografów i zwykłych ludzi oglądających zdjęcia na wystawie. Rozpoczynamy od szkicu krytycznego Jerzego Buszy.

Redakcja

Jerzy Busza

ROZWIANE ZŁUDZENIA

Długo rozmyślałem, czy szkic taki jak ten w ogóle napisać, a jeżeli już, to w jaki sposób? Mówiąc językiem muzealników, otwarta w warszawskiej „Zachęcie” 14 stycznia 1985 roku wystawa „Polska współczesna Fotografia Artystyczna” jest tzw. kobyłą, przeto nosi wszelkie jej cechy. Wystawa jest rzeczywiście wielka, a jej wewnętrzna struktura wzbudza tysięczne wątpliwości. Liczba fotografii jest tak wielka, a natężenie tak dominujące, że trudno pozbyć się przeświadczenia, że mamy do czynienia z jednym, wielkim „wypadkiem przy pracy”.

Idąc na taką wystawę jak ta każdy z nas zadaje sobie pytanie, czy do wiedzy już posiadanej wystawa doda jakąkolwiek nową informację, w którymkolwiek z aspektów? I otóż, nie można się z wystawy dowiedzieć czegokolwiek, o czym wcześniej nie widzielibyśmy. I to jest mój zarzut generalny, z którego wynikają wszystkie pozostałe niedostatki, a jest ich niemało. Nim do tego przejdę, najpierw zawód „artystyczny” spróbujemy zrównoważyć aspektem- by tak rzecz- społecznym. Wystawa bowiem wydaje mi się przede wszystkim pewnym, niezmiennie znamionym dla naszych czasów i stosunków, zjawiskiem, które wybornie ilustruje obecną sytuację kultury. Niczym w soczewce skupiają się w niej wszystkie pokrętne namiętności zżerające środowiska kulturalne. I paradoksem pozostaje fakt, że ta nieoficjalna strona zagadnienia jest stokroć ciekawsza od tego, co można zobaczyć w salach „Zachęty”.

Wobec braku katalogu rozdawano ulotkę, sygnowaną przez ZPAF. A w niej czytamy: „Wyboru prac, spośród tysięcy nadesłanych, dokonał komisarz wystawowy mgr Adam Sobota w ś c i s ł e j [podkr. J.B] współpracy z Radą Artystyczną ZPAF w składzie: Jerzy Lewczyński (przewodniczący), Mirosław Wiśniewski (zastępca przewodniczącego), Paweł Plewiński (sekretarz), Edward Hartwig, Edmund Kupiecki, Stefan Wojnecki i Wojciech Plewiński (członkowie).

W jakąś chwilę po wernisażu fotografowie samowolnie zamieniali wiszące prace, beztrudno nam komunikując żenujący brak umiejętności respektowania reguł cywilizowanego „życia artystycznego”. To tak, jakby na obrazach Adama Soboty ktoś domalował portretom wąsy. Czy jest to oznaką kultury czy głupoty – obojętne. To jednak zupełnie wystarczy, żebym oświadczył rzecz dla Adama Soboty przykrą. Otóż nie ponosi on w tej sytuacji żadnej odpowiedzialności za kształt wystawy. Smutne jest tylko to, że najpierw został wynajęty „do roboty”, a teraz – przypuszczam – recenzenci zaczną go okładać szturchańcami. Całej mało ciekawej reszty możemy się domyślać, a ucząc się na cudzych błędach – zapamiętajmy – należy unikać „ściślej współpracy”.

Jedna trzecia, a może bez mała połowa osób biorących udział w wystawie to autorzy twórczości więcej niż przypadkowych, miernych i nieudanych, takich, których nic nie usprawiedliwia poza względami grzecznościowo-towarzyskimi. Ich więcej niż kurtuazyjna obecność na wystawie przynosi skutek fatalny – wystawę zamienia w s a l o n, z wszystkimi wynikającymi z tego konsekwencjami. Jak do tego doszło? W sposób łatwy do odgadnięcia. Mianowicie, stało się to na skutek wyeliminowania kryteriów merytorycznych i zastąpienia ich jakimikolwiek innymi.

Wymieńmy ważniejsze. Postanowiono dać satysfakcję wszystkim okręgom i delegaturom ZPAF, skąd nadeszły prace dobrze nas orientujące, lecz przede wszystkim w aktualnych, miejscowych układach. Nieomal w stanie „chemicznie czystym” ujawniła się zasada, że nieżyjący i niepokorni mają nikłe szanse na związkowe błogosławieństwo. No, chyba, że są to autorzy „niepomijalni” bądź niegroźni. Drugim mechanizmem, który objawił się z całą mocą, to rodzaj towarzyskiego hołdu złożonego najbliższym i przyjaciółom sfer opiniotwórczych poprzez zapraszanie ich do udziału w wystawie. Nie mówię tego zjadliwie, bo bardzo dobrze rozumiem głuche na rozsądek ludzkie słabostki i namiętności, lecz w tym przypadku przesada w szafowaniu satysfakcjami po prostu deprecjonuje całą wystawę. I wreszcie trzecia sprawa to związkowe lobby, które wykorzystało całą rzecz, by powiedzieć nam, że działalność urzędniczo-komercyjna jest wytchnieniem od szczytnych ambicji artystycznych. Próżność ludzka jest bezgraniczna i prowadzi zwykle do zatracenia proporcji. Dobrze to ilustrują prace niegdysiejszej grupy „Stodoła”, która jak wiadomo, była drobnym incydentem w powojennych dziejach na progu lat sześćdziesiątych. Gdyby porównać pokazane przez niegdysiejszą „Stodołę” prace z więcej niż skromną obecnością fotografów „Świata”, to wynikałoby z tego, że to tygodnik „Świat” był drobną, studencką inicjatywą. Rzecz zrozumiała, że podany tu przykład zaledwie ilustruje pewną rzucającą się w oczy tendencję, nie wyczerpując jej oczywiście.

Nie tracę nadziei, że wszystkie te trzy mechanizmy zadziałały w sposób dla organizatorów nie do końca uświadomiony.

Zrekapitulujmy ten wątek rozważań. Wystawa jest ogromna i ogromnie rozchwiana. Nie istnieje w niej jedna, porządnie umotywowana pracami linia rozwoju form fotografii, z którą można by było dyskutować. Raczej mamy do czynienia z chaosem, który jak się wydaje, jest rezultatem wielu indywidualnych wyobrażeń i środowiskowych aberracji. Inaczej mówiąc, wystawa jest ofiarą wielu wymuszeń i wielu kompromisów. Zdaje się, że jak w starym dowcipie, chodziło o to, żeby taktownie zaoszczędzić goryczy pomocnikowi szewca z Morąga. Tak, żeby nie musiał się zadręczać wiadomością, że to nie on, lecz ktoś z Puławskiej został biskupem.

Nie oceniamy jednak zbyt poważnie **nie spełnionych**, ludzkich wyobrażeń o sobie. Każdy ma prawo mniemać o nadzwyczajnej doniosłości tego, co czyni. A wystawa? W sukurs tym zbiorowym pragnieniom zdawała się być idealną wręcz okazją do zaoferowania przepustki do

historii. Strategia była prosta. Rekompensując brak talentu i umysłowe lenistwo należało się jakoś „zabrać” z tłumem i wyszarpać dla siebie kawałek ściany. Czy można to zrobić w „Zachęcie” na siłę? Oczywiście, pod warunkiem, że ma się taką siłę. Doświadczenie podpowiada, że posiadają ją zaledwie nieliczni. (Nie mówimy o sile związkowych wpływów.)

I w tym sensie właśnie wystawa jest niewątpliwym sukcesem tzw. związkowej demokracji, czyli uhonorowania każdego za to tylko, że w ogóle istnieje. A wspomniany na wstępie „wypadek przy pracy” polega na tym, że poprzesuwały się akcenty, z wartości na osoby. I jeżeli do tej pory nie pojawiają się w niniejszym tekście nazwiska, to dlatego, że na razie musiałbym operować nazwiskami autorów, których nie ma potrzeby wymieniać nawet *petitem* w przypisach. Kumoterstwo ma swoje dobre strony, ale i granice, poza którymi zmienia się ono w pretensjonalną kokieterię. I tylko cóż z tego wynika? Otóż to, że wystawa – aczkolwiek w tytule nie aspiruje do rozliczeń historycznych – jest przecież w jakieś mierze propozycją powojennej historii fotografii w Polsce. W tym sensie, w swym generalnym zarysie jest śladem poglądów swego komisarza; poglądów, które znam, podzielam i cenię. Z poglądami Adama Soboty czy Jerzego Lewczyńskiego, bądź kogokolwiek z Rady Artystycznej, można i trzeba dyskutować. Nie potrafię jednak przemóc się i podjąć dyskusji z zinstytucjonalizowanym, zbiorowym poglądem, gdyż rozsądek mi podpowiada, że przekonania wszystkich są zarazem przekonaniem niczymi.

W tej sytuacji możemy powrócić na wystawę, która, jak wszystko na świecie, również ma przecież swoje niezaprzeczalne zalety.

Nonszalancki projektant wystawy, nie dopilnowany przez nie mieszkającego w Warszawie Adama Sobotę, puścił wodze fantazji unieczytelniając jakkolwiek rozumianą linię pokazanych procesów historycznych. Co prawda, pewne wątki, trendy czy orientacje zostały wyodrębnione kolorami tła, nie jest to jednak dostatecznie czytelne i to właśnie całości ekspozycji nadaje wydźwięk myślowego mętliku. Nadto w jednej z sal można obejrzeć przemieszane prace z lat pięćdziesiątych, sześćdziesiątych, siedemdziesiątych; na szczęście wszystkie prace są sygnowane datami powstania. Jeżeli projektant wystawy zrezygnował z rygorów chronologii, to wobec tego jakim kryterium postanowił się podporządkować? Osobiście nie wiem. Ale wiem, że trzeba doskonałego znawstwa przedmiotu, żeby w tym pomieszaniu spraw i rzeczy nie utracić orientacji, co utrudnia wspomniany już brak katalogu.

[s.164:]

Nieszczęsny projektant poza tym zniechęcił mnie do siebie wyczynami w wystawienniczej praktyce niebywałymi. Otóż, jeżeli mu się cykl prac nie mieścił na ścianie, cykl „obcinał”. Tak frywolny stosunek do pracy zademonstrował nam choćby w przypadku pracy Marii Wołyńskiej pt. „Podróże...”.

Czas najwyższy złożyć ręce do oklasków. Otóż myślę, że najważniejszą i bezsporną zaletą wystawy jest to, że ona w ogóle istnieje. I to jest pozadyskusyjne.

Jej naturalną cechą jest to, co ja bym określił „fotografocentryzmem”, który polega na ujawnianiu zjawisk artystycznych bądź paraartystycznych, które swe źródła mają w krajowym „układzie fotografii”. Taka optyka, którą przyjął Adam Sobota, jest oczywiście właściwa, ja sam widzę problematykę fotograficzną podobnie, ale poza tym coraz częściej mniemam, iż dłużej nie da się nam utrzymać takiego punktu widzenia, ceną bowiem jego utrzymania jest ignorowanie ogromnych obszarów eksploatacji tworzywa w różnorodnych dokonaniach „sztuki niskiej”, „popularnej” poczynając już od lat sześćdziesiątych, ale i przede wszystkim przestajemy dostrzegać ważne zjawiska artystyczne lat siedemdziesiątych. Najlepszy dowód to brak to brak fotografii rozumianej jako „projekt” albo „dokumentacja” działań artystycznych, które były nie mniej ciekawe niż, powiedzmy, ruch analityczno-medialny. Tyle, że uwzględnienie tegoż, mówiąc żartobliwie, wyprowadza nas już poza „jurysdykcję zpaflowską”.

Z pewnością nie wadą, lecz zaletą wystawy jest jej „wszystkoizm”, a więc – uwzględniając wspomniany „fotografocentryzm” - rozciągnięcie zainteresowań poznawczych na wszystko, co tylko w „układzie fotografii” urodziło się w minionym czterdziestoleciu. Mankamentem owego „wszystkoizmu” jest, o czym była już mowa, zaburzenie proporcji tak, że zjawiska marginalne „zakrzykują” zjawiska rzeczywiście w jakimś sensie przełomowe. Poza tym niektóre z pokazanych zjawisk zostały zobrazowane pracami wtórnymi, drugorzędnych autorów, lecz i o tym już było. Nie lubię przeciętniactwa i amatorszczyzny (nie mylić ze szlachetną twórczością amatorską!) , więc to wydaje mi się bardziej naganne niż brak pewnych wątków czy trendów, o czym jeszcze będzie mowa.

Raz jeszcze okazało się, że dużo łatwiej jest zrobić pokaz prac z najdawniejszego okresu niż z chwili obecnej. Stosunkowo duży dystans czasu jest idealnym filtrem krytycznym idealnie

weryfikującym tyleż indywidualne, co i zbiorowe poglądy. Stąd prace z lat 1945-1955 uważam za najlepszą część wystawy, która dla bardzo wielu widzów może być z powodzeniem prawdziwym odkryciem. Prace salonowo-piktorialne znakomicie zostały skonfrontowane z ówczesną fotografią nowoczesną i nikt nie może wątpić w pionierstwo Fortunaty Obrąpalskiej i Zbigniewa Dłubaka. Pewien niedosyt pozostawia fotografia socrealistyczna. Nie, by jej nie było, bo oczywiście jest, ale dlatego, że jej żywiołem nie były galerie, lecz gazety, gazetki ściennie, portrety przywódców, reportaże z manifestacji pochodów, „państwowych pogrzebów” etc. Jaka szkoda, że Adam Sobota nie pokazał autentycznych tam gazet. Fotografie powyrywane z kontekstu wyglądają niczym stare wino w karafkach moderne. Zresztą, uczciwie mówiąc, Adam Sobota nie miał w tej mierze łatwego zadania. Każdy, z konieczności arbitralny wybór wydaje się nie najlepszy. I tutaj, w okresie pierwszej połowy lat pięćdziesiątych, zaczyna się poważny niedosyt fotografii prasowej, co kończy się nieomal nieobecnością reportażu „naszej małej stabilizacji” z lat sześćdziesiątych, tzw. fotografii socjologicznej, zwłaszcza drugiej połowy lat siedemdziesiątych i wreszcie nieobecnością zdjęć reportersko-dokumentalnych z lat osiemdziesiątych. Gdyby się oprzeć na zdjęciach publikowanych, można byłoby mlaskać z zadowolenia. I w taki sposób zabrakło, tak sztandarowych postaci, jak Aleksander Jałosiński, Krzysztof Barański, Jan Kosidowski, Wiesław Prażuch, Eustachy Kossakowski, Włodzimierz Ochnio i paru innych, o niebo ciekawszych fotografów niż pół wystawy.

Bardzo mocnym punktem wystawy jest również okres „fotografii subiektywnej”. W zasadzie wszyscy, którzy mieli cokolwiek interesującego wówczas do powiedzenia, znaleźli się w „Zachęcie”. A więc mamy B. Schlabsa, Z. Beksińskiego, W. Plewińskiego, J. Lewczyńskiego, W. Nowaka, A. Pawłowskiego, M. Piaseckiego – prace dzisiaj rzeczywiście nie do podważenia. Osobiście żałuję, że Adam Sobota stoi na stanowisku, iż nowoczesność drugiej połowy lat pięćdziesiątych była dziełem zbiorowym. Generalnie ma rację, ale ja skłaniam się ku przekonaniu, że wątle dzieje naszej fotografii to wyłącznie upór i talent kilku osób, które fotografię polską ciągnęły i ciągną do przodu, szkoda więc, że ich twórczości „zagięły” w masie artystycznych maruderów, nawet chwilowych na różnych etapach sojuszników. Tymczasem prawda jest taka, że w różnych momentach i z różnym rezonansem ton wszystkiemu nadawali: Zbigniew Dłubak, Edward Hartwig, Józef Robakowski, Andrzej Lachowicz, lecz i z pewnością „wielcy indywidualiści” jak Adam Bujak czy Zofia Rydet, wreszcie fotografowie „Polski” i „Świata”. a na koniec reporterzy popularnych tygodników lat

siedemdziesiątych. Trzeba dobrej orientacji w zawiłych dziejach, by owe linie przewodnie wychwycić, co najprawdopodobniej jest grzechem projektanta wystawy.

Na koniec kilka słów o fotografii lat siedemdziesiątych, a więc tego momentu, kiedy zaczęło się niebywałe jak na nasze stosunki zainteresowanie dokumentem i przede wszystkim działaniami wytwórczymi, które były następstwem „szoku conceptualnego”. O tym okresie, który przecież nie tak dawno sami przeżywaliśmy, wiemy bardzo dużo. Znamy nazwiska czołowych artystów, dysponujemy dobrze zdefiniowanym kontekstem kulturowym, mamy świetną orientację w sferze idei społecznych, politycznych, artystycznych etc., które inspirowały artystów do różnorodnych działań. Wreszcie dobrze znamy ówczesną sytuację Art World’u, który był przecież jedynym, liczącym się kontekstem. I mimo to, wcale nie jest łatwo ustalić ostateczną hierarchię wartości niepomijalnych i trwałych, czyli nie jest łatwe zadecydować, kto z wystawiających winien znaleźć się pośród artystów reprezentatywnych. Te kilka zdań pozornej dygresji to tylko kontekst zagadnień, które towarzyszyły Adamowi Sobocie w przygotowaniu tej części wystawy. Nie jest ona zła czy dobra. Mniej więcej jest wierna powszechnym wyobrażeniom specjalistów, choć znowu autorzy tacy jak W. Bruszewski, B. Stachow, S. Wojniecki, L. Brogowski, A. Jórczak, J. Przybylak, J. Bąkowski, A. Różycki giną w tłumach autorów, których twórczość zamazuje ostrość pokazanego obrazu.

Czytelnicy niniejszego – jak miemam – pragną wiedzieć, czy wystawa jest dobra czy zła, czy oceniam ją pozytywnie czy negatywnie, czy wreszcie mój stosunek do trudu organizatorów jest na plus czy na minus? Tymczasem wystawa taka jak ta nie może być jednoznacznie, skończenie dobra w sensie ostatecznej poprawności. W naturze kulturze pozostaje, że polaryzuje sądy i wzbudza kontrowersje. Ten szkic jest tylko taką właśnie próbą skonfrontowania wyobrażeń zrealizowanych z poglądami krytyka, które łatwiej jest oczywiście napisać niż urealnić i ziścić kolejną ekspozycją. Źle by o mnie świadczyło, gdybym nie bronił własnych poglądów i gdybym nie szanował prawa Adama Soboty do ujawnienia własnych. Nie chodzi więc o ocenę, lecz o rzecz dużo bardziej kuszącą, którą wszyscy mamy na końcu języka. Chodzi w końcu o to, w jakiej mierze zbliżamy się do sformułowania historii fotografii ostatnich czterdziestu lat. W tym sensie „Polska Współczesna Fotografia Artystyczna” jest kolejną przymiarką do powszechnych wyobrażeń i dla bardzo wielu autorów musiało to być przymiarką bardzo gorzką, bo definitywnie rozwiewa złudzenie. W każdym razie, chodząc po „Zachęcie” konstatowałem, że jest gorzej niż do tej pory mi się wydawało. Mówiąc językiem karcianym: jest kilka figur, asów w rękawach brak, reszta blotki... Kto wie, czy nie należy skonfrontować

jeszcze jednej legendy z nagą prawdą. Otóż myślę: nie jest prawdą, że nie potrafimy lansować siebie na świecie. Prawdą pozostaje natomiast fakt, że właściwie nie mamy kogo.

Na zakończenie warto napisać i rzecz optymistyczną. Otóż po zakończeniu ekspozycji w stołecznej „Zachęcie” Adam Sobota wystawę zabiera do swojej placówki, Muzeum Narodowego we Wrocławiu, gdzie będzie mógł sam już zadbać o szczegóły. Z tego, co już się domyślam, to zanoszę się iż będzie to zupełnie inna wystawa. Nie wszyscy autorzy będą eksponowani, a poza tym zmianie ulegnie sam projekt wystawy.

Jeżeli tak się stanie, to czy przypadkiem nie należałoby za dwa miesiące napisać nowego szkicu? Bardzo możliwe... Lecz z tego wynika bodaj najbanalniejszy wniosek. Otóż, twórczość artystów jest tylko i zwykle przedmiotem igraszek historii, którą uprawiają z większym lub mniejszym znanstwem historycy, kustosze, krytycy. I tylko kilka osób potrafiło sprawić, iż nie są dowolnie przedstawianym przedmiotem gry, lecz są jej podmiotem, ba, nawet twórcami reguł gry, której musimy się podporządkować. Tak już niestety jest. I żadne ciało administracyjne, nawet Rada Artystyczna nie jest tego w stanie zmienić. Amen.

styczeń 1985

Jerzy

Busza

W dniu otwarcia wystawy reporter zwrócił się z prośbą o udzielenie wypowiedzi do ówczesnego przewodniczącego Rady Artystycznej ZPAF Jerzego Lewczyńskiego oraz komisarza wystawy Adama Soboty. Obydwa teksty były autoryzowane.

Wypowiedź JERZEGO LEWCZYŃSKIEGO

– Rada Artystyczna ZPAF miała wiele trudu przy organizowaniu tej wystawy i gdyby nie fakt, że Muzeum Narodowe we Wrocławiu, dzięki przezorności pana Adama Soboty, ma tak duże zbiory fotograficzne, wystawa w ogóle nie byłaby możliwa do zrealizowania. Według naszych koncepcji ekspozycja mogła być zmontowana dwojako: pokazując dzieła pod [s.165:] względem ich wartości artystycznej, sprawdzonej historycznie, albo też pod względem atrakcyjności tematu, jego sensacyjności itp. Sądzę, że obie tendencje wystawa w sobie łączy. Pokazuje nam zdjęcia tylko te, które są naprawdę wartościowe oraz część materiału interesującego jako dokument czasu i wydarzeń. Odbiegliśmy od koncepcji almanachu nastawionego wyłącznie na zdjęcia efektowne, estetyzujące. Zgodnie zresztą z poglądem funkcjonującym już od dawna, że jesteśmy niespokojni twórczo i ciągle czegoś szukamy.

Wypowiedź ADAMA SOBOTY

– Musiałem korzystać w wielu przypadkach tylko z tego materiału, który był w posiadaniu „mojego” muzeum czy muzeum w Łodzi. Niektórzy z autorów nie dotrzymali słowa i nie dostarczyli swoich prac. Ponadto, część fotografii z lat osiemdziesiątych została usunięta w ostatniej chwili. Dotyczy to działu fotoreportażu. Stroną techniczną wystawy zajmowało się CBWA. Koncepcja zakładała utworzenie dwóch ciągów twórczych różniących się kolorem tła. Organizator nie dysponował jednak odpowiedniej jakości kartonem, co w konsekwencji mogło budzić wiele zastrzeżeń. Wystawa była przygotowywana cały rok, to prawda, ale napięte terminy w „Zachęcie” spowodowały, że na rozwieszenie prac i ustawienie ekspozycji pozostało praktycznie niewiele czasu, bo zaledwie tydzień, a sale są przecież ogromne. Układ wystawy ma swoich zwolenników i przeciwników, ale uważam, że od czego trzeba było zacząć. Jest to tylko pewna propozycja spojrzenia na czterdzieści lat polskiej fotografii artystycznej.

Jednoznaczna ocena wystawy w „Zachęcie”, ze względu na ogrom objętych przez nią zjawisk oraz kontrowersyjność ekspozycji, jest – jak się wydaje – niemożliwa. Po wernisażu odbyła się zresztą dyskusja z udziałem osób niejako trwale związanych z nurtem artystycznym fotografii, tak czynnie, jak i biernie. Uczestniczyli w niej fotograficy i krytycy sztuki. Prasa była reprezentowana jedynie przez redakcję kwartalnika „Fotografia” i miesięcznika „FOTO”. Inne redakcje prasy krajowej i RTV o otwarciu wystawy dowiedziały się post factum; czujemy się więc w obowiązku przekazać nieco informacji.

Dyskusja była długa i wielowątkowa, toteż wybraliśmy tylko niektóre głosy odzwierciedlające główne nurty wyrażanych poglądów, zachowując przy tym anonimowość rozmówców. Pozwoliło nam to na utrzymanie bardziej autentycznego charakteru wypowiedzi niż w przypadku odwrotnym, gdyby konieczna była autoryzacja:

Wypowiedź 1

– Wystawa lepsza niż inne, a zwłaszcza wystawa FASFwP. Jest tu pewien przegląd historyczny osiągnięć polskiej fotografii artystycznej. Można mieć nieco zastrzeżeń co do procentowego stosunku zakwalifikowanych prac poszczególnych autorów, ale sama idea układu wystawy jest bardzo dobra. Szkoda jedynie, że nie widać kraju na pokazanych fotografiach, a są tylko mody na różne pomysły i działania.

Wypowiedź 2

– Każdy z nas ma jakąś swoją wizję fotografii polskiej w czterdziestoleciu, jakąś syntezę dokonań artystycznych. Ta wystawa jest syntezą autorską pana Adama Soboty, którego ZPAF poprosił o ułożenie scenariusza i zebranie prac. Sądzę, że indywidualny charakter ekspozycji jest tutaj bardzo silny, ale to nie umniejsza jej wartości. Jedyne zarzut, jaki można by postawić, to rzeczywiście brak elementów polskich. Gdyby wystawę zdjąć i pokazać za granicą, to wątpię, czy ktoś mógłby zorientować się co do jej charakteru i jakiego kraju dotyczy. Tak jakby przez te czterdzieści lat w Polsce nic się nie działo.

Wypowiedź 3

– Zaraz, zaraz. Czy to miała być Polska w fotografii czy polska fotografia? Uważam, że jest to pytanie zasadnicze, bo to dwie różne sprawy; wszelkie obecne uwagi pod adresem wystawy uważam za cenne przede wszystkim pod względem założeń przy przygotowywaniu kolejnej, tym razem na czterdziestolecie ZPAF-u. Obecnie uważam, iż jest wielkim sukcesem Związku, że wystawa pojawiła się i że znalazł się ktoś jak p. Adam Sobota, który się podjął tej żmudnej pracy i swoim osobistym spojrzeniem nadał jej realny kształt.

Wypowiedź 4

– Owszem, ale uderza na tej wystawie brak jakiegoś usystematyzowania. Obejmuje ona przecież czterdziestolecie działań twórczych, co można było ująć bądź chronologicznie, np. dziesięcioleciami albo okresami, bądź też problemowo – reportaż osobno, fotografia poszukująca osobno itd. Odczuwam również brak legendy mogącej ułatwić zwiedzanie. Wystawa jest przecież przeznaczona nie tylko dla fotografików czy historyków sztuki, którzy będą wiedzieć, do jakiego okresu należą Beksinski czy Plewiński, ale przychodzą również laicy i tych właśnie należałoby poprowadzić, bo przy pięciuset zdjęciach łatwo się pogubić.

Wypowiedź 5

– Jest to pierwsza tego typu wystawa w „Zachęcie”, nobilitująca niejako polską fotografię powojenną. To, co pokazano, jest jednak ogromnie nierówne. Wiele zdjęć zostało wybranych jakby z pewną nonszalancją, której nie rozumiem, ale są i przykłady zaskakujące głębią spojrzenia na rzeczywistość – głównie autorów młodych. Są również zdjęcia dobrze mi znane. Wydawało mi się, że autorzy, których znam z tych zdjęć, wykorzystują wystawę do pokazania rzeczy zupełnie nowych, świeżych, na co wskazuje tytuł, a tymczasem takich prac albo w ogóle nie ma, albo z niewiadomych powodów nie zostały wystawione. W sumie ekspozycja jest wydarzeniem z pewnością istotnym, choć odczuwam brak całych nurtów czy przedziałów czasowych w polskiej fotografii, będących dla tej sztuki niezwykle ważnymi momentami przełomowymi. Nie widać na wystawie zdjęć, które by pokazywały nową wartość w sztuce.

Jest tutaj dużo wtórnych zabiegów wobec tego, co zostało już dokonane w innych krajach, choć nie mogę tego stwierdzenia przenieść na wszystkie prace, zwłaszcza te opatrzone datami wskazującymi na odmienną ocenę. Drugi aspekt sprawy to poziom techniczny; narzuca się tylko jedno sformułowanie – przepaść nie do ogarnięcia rozumem w stosunku do standardu narzuconego obecnie w artystycznej fotografii światowej i to nawet zaledwie w zakresie techniki czarno-białej. Mimo tych braków wystawę można uznać za przeglądową, tylko pytanie, co z tego wynika; czy można znaleźć odpowiedź, dlaczego mamy taki a nie inny stan w polskiej fotografii...?

Czołowa placówka wystawowa CBWA, jaką jest „Zachęta”, nie ma książki pamiątkowej udostępnianej zwiedzającym w celu umożliwienia im dokonania wpisów – uwag i opinii o prezentowanych wystawach. Lukę tę postanowiliśmy wypełnić rejestrując kilka wypowiedzi po tygodniu trwania wystawy.

Nauczyciel historii:

– Nie jestem fotografem, ale zdaję sobie sprawę, że dla artysty wystawa ta może mieć takie walory, jakich nie będzie miała dla mnie. Z pewnością jest ona pokazem osiągnięć technicznych fotografii, różnych pomysłów i ich zestawień. Nie będąc artystą, a jedynie konsumentem, chciałbym natomiast zobaczyć wystawę przedstawiającą bardziej piękno świata niż jego brzydotę. Wystawa jest straszliwie smutna. Ktoś może powiedzieć, że świat jest smutny, że czeka nas III wojna itd. Uważam, że takie fatalistyczne podejście nie ma sensu, bo nic nas nie buduje i nie nastraja, by temu przeciwdziałać. Wystawa jest po prostu brzydka. Pomijam tu kwestię plastyki ekspozycyjnej, ale po prostu same motywy fotograficzne są przykre. To, czego nie lubię w fotografii, to wizerunki ludzi – powykrzywiane, zdeformowane akty przez jakieś aluminiowe blachy, fałszywe lustra, wynaturzone twarze i całe postaci. Człowiek jest tu sponiewierany, a ileż głębi niesie w sobie portret górnika czy też reportaż ze świata żydowskiego – pokazane w innym miejscu. Są to jednak wyjątki. Dominuje ogromny manieryzm, silenie się na oryginalność prowadzącą donikąd. Pamiętam doskonale czasy fotografii Bułhaka. Pokazywano wówczas urodę świata. Dzisiejsi fotografowie uparli się, by pokazywać brzydotę, a co więcej – sami tę brzydotę tworzą.

Jestem zwolennikiem fotografii naturalistycznej, co nie oznacza, że chcę widzieć obrazki ulizane. Szukam jedynie tego, co pokazuje aspekty świata w naturalny sposób. Jest to sztuka,

którą niewielu z naszych artystów potrafi, jeśli spojrzeć tylko na dorobek pokazany na wystawie.

Para studentów UW:

– Interesuje nas zwłaszcza fotografia współczesna. Jesteśmy zdumieni, że tak mało pokazano fotografii reklamowej. Inne działy też są nie najszcześliwiej podobierane. Wystawa FASFwP była pod wieloma względami ciekawsza. Ekspozycji profesjonalistów nie może ratować Kielecka Szkoła Krajobrazu, Czudowski-Weinberg czy Tomaszewski – takich prac jest tu za mało. Co robią inni? Naprawdę, fotoamatorzy fotografują o głowę lepiej. Widać wyraźnie, że Związek, bo większość autorów do niego należy, cały swój dorobek fotografii artystycznej opiera na latach czterdziestych i pięćdziesiątych. Dalej nie ma już nic do pokazania. Jeżeli tak, to może trzeba było wystawić nieco zdjęć, z których fotograficy żyją, które wykonują na zlecenia, wysyłają [s.166:] na zagraniczne wystawy, reprezentując Polskę... Może wówczas dowiedzielibyśmy się czegoś więcej o rzeczywistym obliczu naszej sztuki fotograficznej i jej powojennym dorobku, bo ta wystawa – uważamy – jest jej fałszywym obliczem.

Emeryt:

– Fotografią, podobnie jak polityką, interesuję się od bardzo dawna. Ze szczególną uwagą obserwowałem życie artystyczne w ciągu ostatnich trzech lat. Trudno zapomnieć, że w tym okresie były motywowane politycznie próby bojkotu udziału w wystawach. Uwaga ta dotyczy szeroko rozumianego środowiska plastycznego. Dobrze się stało, że środowisko fotografików zdecydowało się wziąć udział w tej wystawie. Może jeszcze zbyt nieśmiało, o czym świadczy enigmatyczny tytuł imprezy, tak jakby jej organizatorom zabrakło odwagi podkreślić, że została ona otwarta z okazji czterdziestolecia naszej ludowej Ojczyzny i znajdujące się na niej zdjęcia zostały wykonane właśnie w tym okresie. Chciałbym uchylić się od oceny artystycznej prezentowanych prac na wystawie; sądzę, że tym będą zajmować się zawodowi krytycy. Ze swojej strony chciałbym jednak podkreślić, że wychodzę z wystawy z ogromnym rozczarowaniem. Jako przedwojenny komunista chciałbym, aby socjalizm miał w artystach, w tym również fotografikach, sojusznika. W sztuce, moim zdaniem, nie są obojętne treści, wartości, a szczególnie przesłania ideowe. Być może wynika to z mojej nieumiejętności, ale nie udało mi się odnaleźć wśród wykonanych w ostatnich latach ani jednego zdjęcia, które byłoby elementem współtworzenia socjalistycznej świadomości społeczeństwa. Jak słyhać w kuluarach, za dwa lata ma być podobna wystawa. Może z tego, co na tej wystawie można było zobaczyć a czego nie, należy wyciągnąć konkretne wnioski. Można za deklaracjami, że

państwowy mecenas nie rezygnuje z preferencji ideowo-artystycznych, powinny pójść konkretne działania?